

51182 I

Pracownia Śląska

Nr. 7.

Rok 1889.

MIESIĘCZNIK

PISMO

DLA ŚMIECHU I ZABAWY



N. Piekary,
Wydawca i redaktor Fr. Schwider.

Czcionkami drukarni „Gwiazdy Piekarskiej.”

1889.

Cena 15 fen.

51182. 1889. nr 4

Od Wydawcy!

Przy końcu bieżącego roku, odzywamy się do Was Szanowni Czytelnicy „MIESIĘCZNIKA“ z prośbą, o rozszerzanie pisma naszego, pomiędzy przyjaciółmi i znajomemi Waszemi, bo pragnęliśmy powiększyć i rozszerzyć „Miesięcznik“, ale dotychczasowa szczupła liczba prenumeratorów, nie pokrywa nam kosztów wydawnictwa. Starajcie się zatem, aby z nowem rokiem powiększył się zastęp czytelników Miesięcznika, a my wynagradzając Wam to, będziemy się starać, doberem uciesznym i zabawnym artykułom Was zadowolić.



MIESIĘCZNIK

DLA SMIECHU I ZABAWY.

Nr. 7. Niem. Piekary, 15-go grudnia. 1889.

Strachy i miłość.

Były trzy siostry: Klara, Barbara i Łucya. Klara i Barbara zostały staremi pannami i były szwaczkami, a Łucya najmłodsza poszła za mąż. Lecz niedługo nieubłagana cholera zabrała męża i żonę, zostawiając sierotę, zaledwo kilkoletnie dziewczę, imieniem Jadwiga. Klara z Barbarą zajęły się wychowaniem sierotki po siostrze. Gdy dziewczę już podrosło, ciocie uczyły ją swego rzemiosła. Zarazem postanowiła ciocia Klara, że Jadwiga, nigdy za mąż nie pójdzie, lecz musi zostać starą panną. Dla tego miała pilne oko na Jadwigę, żeby się na jakiego mężczyznę nie zagapiła. Za żadną cenę nie byłaby też do domu wpuściła młodego mężczyzny. Ale—strzelec mierzy, a Pan Bóg kule nosi — tak się i tu stało.

Pewnego poranku Jadwiga siedziała sama przy stoliku, zajęta pilną robotą, gdy służący, chłopiec Piotrek, przyszedł z miasta i rzucił jej na klin mały liścik. — „To ci posyła Twój Stach“ — wyszeptał Piotrek i wysunął się na podwórze. Z bijącym sercem rozerwała Jadwiga drżącą ręką liścik, rumieniec oblał jej lica. Liścik zawierał następujące

wyrazy: „Gdy wieczorem księżyc się ukaże na niebie, przyjdź na krzyżowe drogi do mnie, na kilka słówek. Twój Stach.“

Nim dziewczę zdołało liścik napowrót złożyć i ukryć w koszyczku, weszła do pokoju ciocia Klara z miną pułkownika i zakomenderowała natychmiast: „A toś ty jeszcze w domu, nie odniosłaś jeszcze pani Antoniowej sukienki? Toć ukaranie z tą dziewczuchą!“ — „Zaraz Ciociu! zaraz, już idę, tylko jeszcze nitki powywłócze.“ Po małej chwileczce Jadwiga biegła już do pani Antoniowej z sukienką, ciocia Klara rewidowała tymczasem jej koszyczek, bo nie uszedł jej uwagi ów mały liścik. Oczy jej się zaiskrzyły, gdy go znalazłszy przeczytała, pięści zacisła groźnie. W tym weszła do pokoju ciocia Barbara. Mimo, że Klara z Barbarą były rodzone siostry, jednakże nie były sobie wcale podobne: Klara wysoka, huda, a koścista, miała twarz pełną złośliwego wyrazu. Barbara zaś niska, tłusta, miała twarz miłą i ujmującą. — „Czemu się tak gniewasz siostro?“ — rzecze Barbara. — „Zobacz, przeczytaj! odpowie Klara, podając Barbarze ów fatalny liścik. „Jadwiga już tak daleko doszła, że będzie nocne schadzki z mężczyznami odbywać, toby mi się podobało; całą familią na wstyd i pośmiewisko ludzkie narażać. Już onem się odechce tej schadzki, jakem Klara, tak im tego płazem nie puszcze! Wiesz co zrobię, ubiorę się za ducha i napędzę im strachu, że popamiętają na całe życie, tylko nie mów nikomu nic o tem. — „Ależ siostro! czy nie lękasz się jakiego okropnego wypadku?“ — Zapytała Barbara przerażona, dodając: „Nie można też z dziewczyną

tak twardo postępować, bo jest jeszcze młoda, a ma swoje prawa do życia!“ — „Co tam! głupstwo!“ rzecze Klara, — „przedewszystkiem chcę porządnie dokuczyć temu fryckowi, aby mu się nadal odechciało mamie i wywoływać dziewczynę. Już ja swoje zrobię, tylko proszę cię, nie mów nikomu o tem.“ — Jednakowoż Piotrek będąc przypadkiem za drzwiami dosłyszał gniewny głos ciotki Klary, przyłożył ucho do drzwi, i wysłuchiwał całą rozmowę. Ale, że nie lubił panny Klary, dla tego, że go często przeganiała dla jego lenistwa, umyślił sobie zepsuć jej całą wyprawę, i o ile można wypłatać jej jeszcze jakiego figla. Cały dzień rozmyślał jakby to uskutecznić. Nie mógł się doczekać wieczoru. Na zmroku ukrył się gdzieś jakby w ziemię przepadł. Tak samo ciocia Klara, gdy się księżyc począł wydierać ponad las, okryła się długą białą płachtą, od wierzchu głowy aż do stóp, tak, że jej tylko oczy było widać. Potem wymkła się cichaczem z domu, biegnąc ku krzyżowym drogom prosto ku cmentarzowi, i ukryła się za kamiennym krzyżem, stojącym na grobie pewnego nieboszczyka. Nie zauważyła ona, że się w pewnem oddaleniu za nią jakaś czarna postać pomykała, która się potem opodal za kupą kamieni ukryła. Po krótkiej chwili dał się słyszeć z jednej strony głos nadchodzącego kochanka, a z drugiej strony szła ścieżką Jadwiga. Obaj śpiewali, bo śpiew był ich hasłem, po którym się zdala poznawali. On śpiewał: „Magdalenko moja, pójdziemy na spacer: A ona znów śpiewała: „Zaletki moje, na co mi wyszły?“ Ciocia Klara drżąc od strachu poprawiała właśnie płachtę na sobie, by już wystąpić, bo

dłużej wytrzymać nie mogła. W tym bęc coś o mur cmentarny, aż się zaiskrzyło. Łańcuchy zabrzęczały. Panna Klara chcąc innych straszyć, sama teraz ledwo nie umarła od strachu. Co jej tylko tchu starczyło umykała z swojej kryjówki ku domowi, a za nią pędził, czarny jak smoła djabeł rogaty, wlokący za sobą po ziemi ogromny łańcuch. Jadwiga widząc naraz, aż dwa strachy: białą śmierć i czarnego diabła, nie zdolną była tego przetrzymać, włosy jej stanęły dębem na głowie, w prędkości nogi jej się jakoś zaplątały i runęła jak długa na ziemię omdlawszy ze strachu. Stanisław widział wszystko zdala i poznał odrazu, że to były jakieś figle, pobiegł więc szybko na ratunek swojej najmilejszej. Gdy Jadwigę zawołał po imieniu kilka razy, ona otwarła oczy, oczucona głosem kochanka. Za chwilę, gdy Staś odprowadzał Jadwigę do domu, zastąpił im Piotrek drogę trzymający pakę pod pachą. — „Zkąd się tu wzięłeś Piotрку?“ — Co tam masz pod pachą? — Zapytali go naraz Stanisław i Jadwiga. — „Chcę objaśnić panienkę“, — mówi zdyszany Piotrek: — „Tu trzymam pod pachą śmierć i diabła, których się tak panienka wylękała. Dalej objaśnił Piotrek jak podsłuchiwał ciocię Klarę, że chciała kochanków wystraszyć i jak on sam przebrawszy się za diabła ją wystraszył; ciocia Klara uciekając straciła białą płachtę od strachu, on ją podniósł i do domu niesie, a także swój ubiór, który sobie od kominiarczyka pożyczył. Ale zarazem prosił, aby go przed ciocią nie zdradzić. Potem znikł jak strzała. Gdy przychodzili ku domowi, ciocia Klara uważała oknem i zawołała Stanisława do pokoju i powiedziała jemu i Jadwidze sążniste

kazanie, ale wreszcie pozwoliła mu przychodzić do domu pod warunkiem, że o tem co dziś zaszło nikomu nie powie. Na co się Stanisław z najlepszą chęcią zgodził. Ale chociaż on nikomu nie o tem nie mówił, ludzie jednak w miasteczku powszechnieprzez kilka dni, z tej awantury się śmiali.



Jako Janek niechcący morskim rozbójnikiem został. (Dokończenie.)

Nawet był tak łaskawy, podać mi swoją manierkę do picia, którą miał na złotem łańcuszku na piersiach przewieszoną. Otrząsałem się na to, pić tak po koleżańsku z tem łotrem i łupieżcą, ale cóż było robić? Oddając mu z podziękowaniem manierkę, spostrzegłem na jego żółtych spodnich ślady krwi, z pewnością pozostałość z nocnego pastwienia się nad nieszczęśliwymi więźniami.

W tym przybliżył się jeden ze złoczyńców do herszta, wołając go do steru. Poznałem zaraz, po co go zawołano: het daleko na możu pokazał się okręt. Piraci wietrzyli jakąś nową zdobycz i skierowali okręt za skaliste wybrzeże, gdzie była jakby naumyślnie zgotowana kryjówka; tam niepostrzeżeni czekali na swą ofiarę. Szkoda, że wysoko stercząca skała zasłaniała mi widok, nie mogłem widzieć coby to był za okręt, który nadpływał. Piraci nie mogli chyba ważyć się, napadać na okręt, w obec stanu w jakim się ich szalupa znajdowała, bo, z jakim takim okrętem i nie wielkiej liczbie osób, można ich było w walce na otwartem możu, zbić na kwaśne jabłko. Co widocznie herszt zrozumiał, więc wziął się na inny sposób. Kazał spiesznie wszystkie żagle pospuszczać i kotwicę zarzucić; uprzątnięto pokład, żeby okręt wyglądał jak opuszczony. Oprócz czterech rabusiów, któ-

rzy na okręcie pozostali ukryci, musieli wszyscy wysiąść na ląd ja z nimi także. Ukryliśmy się w przyległej jaskini. Owych pięciu jeńców zostawiono także na okręcie. Czy ich przypadkiem w prędkości tam zostawiono? Widocznie chciano uniknąć otwartej walki, a zwabionego nieprzyjaciela, do pustego okrętu, który przy tej sposobności wylądaje, żeby się w wodę do picia zaopatrzyć, z nienacka napaść. Mieli także piraci dwie dobre, prędkie łódki, ukryte w pogotowiu. Gdyśmy się w tej kryjówce na lądzie należycie schowali, wydał herszt rozkazy, i rozdzielił nas na dwa oddziały. Pierwszy oddział miał w razie, gdy z nieprzyjacielskiego okrętu przyplynie łódź z ludźmi do zbójckiego okrętu, wsiąść do jednej łódki i płynąć na pomoc owym czterem piratom ukrytem na okręcie, i wyciąć nieprzyjaciół do nogi. Drugi oddział tymczasem miał wsiąść do drugiej łódki i płynąć ku nieprzyjacielskiemu okrętowi, który dla płytkiej wody, nie będzie mógł dobić do brzegu, i zarzucić na niego haki, coby się udało bez wielkiego trudu, bo pozostali tam ludzie, będą zajęci walką swych współtowarzyszy z pierwszym oddziałem piratów, więc niepostrzegą się, jak drugi oddział z tyłu na nich nadplynie.

Plan ten hultajski mógł się z łatwością udać, błagałem więc Pana Boga, wzdychając z głębi serca mego o ratunek i o pomieszanie zamiaru zbójów. Postanowiłem z broni którą mi wydzielono, tylko w razie niebezpieczeństwa mego życia, użytek zrobić. Leblanche dawał mi oczyma jakieś znaki, których nie mogłem zrozumieć, zwłaszcza że kapitan znajdował się w środku. Co było robić? Wydzielając broń, powiedział mi parę słów a wzrok jego mówił wyraźnie, że gdybym go zdradził, to mi bez pardonu w łeb wypali. Leżałem tedy pomiędzy temi krwiożercami jak gdybym już kilka lat był ich towarzyszem, rabującym i mordującym chrześcijańskich współbraci. W głowie mi poczęło szumieć i uczułem jakby gorączkę po całym ciele. Jakże miałem się ratować w tej największej biedzie? Czy mogłem liczyć na Leblanche'go, lub czy jego okazana mi życzliwość była tylko udaną, żeby przyzyskać me zaufanie?

Lecz cóżby on przez to zyskał, śmierć moja nie przyniosłaby mu żadnej korzyści. Podczas gdy ja sobie tak marzyłem, okręt ów zbliżał się coraz więcej, prując wodę jak łabędź nie spodziewający się, że ptak drapieżny nań w ukryciu czatuje. Można już było z łatwością flagę rozpoznać, był to okręt duński, ładny, duży statek. Widocznie spostrzegli oni teraz statek zbójceki, ukryty dawniej za skałą; gdy mu się dobrze przez szkła przyjrzyli, i pomiarkowali, że jest pusty, spuszczo łódkę na może, tak jak się herszt spodziewał. Słyszeliśmy wyraźnie jak duńczycy z łódki kilka razy na nasz okręt wołali, ale naturalnie nie otrzymali żadnej odpowiedzi. Zbóje śmiali się pomiędzy sobą jak szatani a hersztowi oczy świeciły się jak tygrysowi. Karabin zadrzał mi w rękę, gdy tak na tego djabła w ludzkim ciele spoglądałem.

Potrzebowałem tylko palcem poruszyć kurek aby go do piekła wysłać, Jednakowóż jego śmierć nie zmieniłaby mego położenia na lepszą, przeciwnie naraziłbym się. Łódź wpływała powoli do portu. Skała za którą byliśmy ukryci, musiała posiadać jakiś otwór sztucznie zrobiony dla obserwacyi nieprzyjaciela, i może już zbóje nieraz jej w podobnym przypadku ze skutkiem używali. Kapitan wyglądając tym otworem, co chwileczkę odwracał się do zbójów i objaśniał ich o ruchach nieprzyjaciela. Zbóje zaś kupili się koło niego, twarze ich pały chęcią morderstwa i rabunku, tylko Leblanche trzymał się na ustroju i jakby mię za ramię pociągał, usunąłem się za nim cokolwiek.

„Czy ty chcesz tym mordercóm pomagać?“ zapytał mię głosem pełnym zaufania, że mu bez ogródki powiedziałem: „Nie, jak Boga kocham! nie jest to moim zamiarem!“

„Dobrze“, wyszeptał Leblanche, „pòjdziemy ręka w rękę!“ Boć i ja jestem tu przemocą wzięty! Lecz Bogu dzięki, moje ręce są jeszcze czyste jak twoje! Może się jako wyratuję!“

„Ale jako, przyjacielu?“

„Uważaj! Jesteśmy przydzieleni do oddziału mają-

cego spieszyć do naszego okrętu, gdyby tam do walki przyjść miało, bez czego się też nie obejdzie, bo ci czterej zbrodniarze tam zostawieni, nie wytrzymają, aby nie popuścić swej huci morderczej. Będzie nam załedwie kilku tylko zbójów w łodzi towarzyszyć, tych musimy niespodzianie postrzelać przed przybiciem do naszego okrętu, potem pospieszymy tym obcym z pomocą, na przeciw owym czterem zbójom. Uwolnimy zamkniętych tamże więźni, którzy natychmiast do nas przystąpią, a potem poddamy się duńczykom na łaskę niełaskę!

„To dobrze! Ja jestem za tem!”

„Cicho! Idą już! Teraz się napocznie!”

Ale się nie napoczęło! Na szkodę! dla czego, pozostało tajemnicą. W tej chwili, gdy łódź miała do zbójckiego okrętu przybić, otrzymała sygnał, co tchu nawróciła nazad, uciekając ile sił starczyło, prędko wsiedli na okręt i statek popłynął dalej, ku wielkiej złości zbójów, którzy już tłusty kasek jakby w pazurach mieli, a wysliznął im się. Z gorliwością udali się napowrót na pokład swego okrętu i oddali się pijatyce. Mnie ogarnął straszny smutek po doznanym zawodzie. Tak pewno liczyłem już na ratunek. Bogu wiadomo, czy się kiedy jeszcze nadarzy podobna sposobność. Boć z pewnością plan Leblancha byłby się udał! — A teraz? — Czy długo ten mój tydzień potrwa? Jednakże pozostała mi nadzieja: przyjaciel i towarzysz niedoli, Leblanche! Tego samego wieczoru znalazłem sposobność, podczas gdy zbójce hulali, pomówić z nim na chwileczkę w skrytości. „Przyjacielu,” rzekłem mu, „zostaniemy i nadal swojemi. Ufam ci zupełnie. Czy niema dla nas żadnego ratunku?”

Leblanche zmarszczył czoło i drapiąc się po wąsach, rzekł: „pojdź ze mną do kuchni, tam możemy sobie swobodnie pomówić!”

Usiedliśmy w najciemniejszym kącie, postawiwszy stołek przed drzwiami do kuchni, któryby musiał każdy potrafić idący po ciemku, zabezpieczywszy się tem sposobem przed podsłuchaniem, począł mi Leblanche

opowiadać smutnym głosem swoją historię. Jak go cierniste i spaczne życie sprowadziło na okręt piratów! Był on prawdziwą igraszką losu. Pelen współczucia słuchałem z grozą jego opowiadania i po kilka razy ścisnęłam mu rękę. Jego ojciec był kucharzem w Bordo, chciał syna wyuczyć swego rzemiosła, lecz Leblanche wolał iść na okręt w służbę. Ale zaraz na pierwszej podróży nie miał szczęścia, bo w Carogrodzie puścił się w złe towarzystwo, pozostał dłużej na lądzie aniżeli miał pozwolono, za co go kapitan ciężko ukarał, więc uciekł tajemnie z okrętu i długi czas tułał się bez zajęcia i bez chleba po stolicy tureckiej, aż nareszcie przyjął służbę za kuchcika w kuchni pewnego ambasadora, ale nie mogąc długo wytrzymać na miejscu, poszedł z pewnem uczonym podróżnikiem, jako towarzyszem-sługą. Przeszli całą Azję wzdłuż i wszerz. Niestety chciało, że mu jego pan zmarł nagle w Manili, Leblanche pozostał znów sam bez chleba. Wreszcie przyjął służbę jako szynkierczyk u pewnego oberzysty, później został tamże kucharzem. Ów oberzysta był bratem herszta morskich zbójów, a że zbójce właśnie nie mieli kucharza więc im oberzysta sprzedał swojego. Dano mu się upić i w stanie bezprzytomności zaniesiono go na okręt zbójcki. Można sobie wyobrazić zdziwienie Leblancha, gdy przyszedł do siebie i domiarował się w jakie towarzystwo się dostał. Był jednakże o tyle mądry, że pogodził się z losem, nie zdradzając żadnego nieukontentowania, co mu wcale nie przeszkadzało przy pierwszej sposobności, piratom pięty pokazać. Na tę sposobność czekał już całe dwa miesiące.

„Teraz byłyby widoki na taką sposobność, byle mógłbym na ciebie liczyć,” kończył Leblanche swoje poufne zeznanie.

„Jak tu moją rękę masz, tak licz na mnie! Albo ratunek, albo śmierć! To moje hasło, boć takim mordercą jak ci zbójce, za żadną cenę zostać bym nie chciał. Ale powiedz mi przyjacielu, czy masz jaki plan, do uwolnienia naszego?”

„Ja liczę na pomoc owych pięciu więźni,” mówił

Leblanche namysłając się. „Trzeba ich najprzód uwolnić! I tak jeszcze będziemy mieli wielką przemoc przeciwko nam, nie lękam się jednakże. Więźniowie będą bowiem walczyć jak lwy, prócz tego mam jeszcze środek w pogotowiu, który nam zwycięstwo zapewni. Pozostawiam to jednak tymczasem w tajemnicy, boć to moja rzecz. Ale zawsze wypełni to moją niewielką siłę rączną, dla słabej budowy mego ciała!“

„Jakim sposobem zdołamy jeńców owolnić?“ ba-
dałem. „Herszt pewno nosi przy sobie klucze od ich kajuty!“

„To już moja sprawa“, mówił kucharz z pewnością swego. Musimy do tego obrać godzinę popołudniową, będzie to lepiej jak w nocy! Po obiedzie zwyczajnie kładą się wszyscy do spania, z wyjątkiem sternika i dwóch innych, którzy muszą kolejno wszelkie roboty zaopatrywać. Nawet sam herszt, który jest nadzwyczaj czujny, drzemie o tem czasie. Wnocy nie do ma-
bowlam sumienie pokoju; także w nocy zwyczajnie odprawy huczne uczy, a natomiast, co do spania, to sobie po obiedzie nagradzają co w nocy zmitrężą. Musimy to więc wyzyskać, ja ukradnę klucze i więźni uwolnię. Są to mężni ludzie, i o ile się nie mylę, nie tacy zbóje jak ci drudzy, są oni żeglaze z zawodu, chłop z chłopu majtkowie i sternicy, nie tacy wisielcy i łotry jak ci drudzy, którzy tylko dla próżnictwa i z bojaźni zasłużonej kary, z świata uciekli i hersztowi służą. Za jednego z więźniów tobym nawet głowę dał, że on ani o włos gorszy od nas. Jest to mój ziomek bardzo wesoly towarzysz, nazywa się Jean Rignault?

Wydałem okrzyk radości.

„Ja znam Rignaulta! toć to moj dobry znajomy, przez pół roku dawał mi lekcyje języka francuzkiego. Służył on na statku Espérance!“..

Leblanche zatkał mi ręką usta nawołując mię do spokoju i do ostrożności. „O Esperancy słyszałem go mówić“, dodał po cichu. „Więcej nie wiem, bo przedtem więźniowie mię unikali i nie mieli zaufania do mej osoby, dla tego nie wiem jak oni się tu pomiędzy zbójców

dostali. Wszyscy pięciu trzymali zawsze do kupy, i jak się domyślam muszą być z jakiego zrabowanego okrętu. Nawet ziomek mój Rignault był mało wierny i niedowierzający, co mu jednak za złe wziąć nie można, bo na takim okręcie i w obec takich stosunków, nie ma się do nikogo zaufania. Wszyscy pięciu byli już na okręcie, gdy mnie tu zdradziecki oberzysta sprzedał. Rebelia wybuchła jednak dopiero przed ósmiu dniami, wskutek czego ich herszt uwięził. Gdyby mnie wten czas byli o swych planach powiadomili, toby było inaczej wypadło, ale nie szkodzi, możemy to teraz nagrodzić! Już wczoraj podałem karteczkę Rignaultowi na której mu napisałem, że nie ma wątpić z towarzyszami, bo godzina zemsty już bliska, i może liczyć na mnie! Gdy mu dzisiaj obiad dawałem ścisł mi lekko rękę na znak wdzięczności, była to odpowiedź na moją karteczkę, od tej chwili jestem pewny, że mogę liczyć na nich każdej godziny!

„A kiedyż myślisz zamiar ten wykonać?“ zapytałem.

„Spodziewam się, że jutro ci będę mógł stanowczo powiedzieć kiedy“ odpowiedział. Ale na każdy raz najlepiej będzie w godzinach poobiednich, bo tylko w ten czas może mój osobny środek oddać nam największą pomoc. Inną razą jest sen niepewny, herszt dogląda wszystkiego, a on jest najniebezpieczniejszy! Wierzaj mi, ja znam dokładnie rzecz, boć już dwa miesiące noszę mój plan w głowie.

„A więc dobrze, do jutra!“ Pożegnaliśmy się z Leblanchem. Nie mogłem się doczekać jutra. To nadzieja szybkiej wolności, to strach przed śmiercią, lub ciężką niewolą, połączoną z krwawymi plagami, miały mną nawzajem. Nazajutrz dopiero koło południa spotkałem się z Leblanchem. „Dzisiaj odważymy się, z Panem Bogiem!“ szepnął mi do ucha. Niedługo zaniosę więzniom chleb i wodę, bo podług rozkazu kapitana nie dostaną nic więcej, to podam znów Rignaultowi karteczkę. Zbóje biesiadowali dzisiaj całą noc, to będą twardo spać po obiedzie. Zaprawię im obiad—“

tu mruczał coś, czego nie zrozumiałem, ani go też nie pytałem; gniewało mię jednak, że jeszcze teraz ma przedemną tajemnice, i pomyślałem, że jeszcze ostatecznie przez jakie głupstwo całą rzecz popsuje. Okazało się jednak zupełnie mylnem moje przypuszczenie, i nieśluszenie podejrzewałem go. Koniec końcem, zrobiliśmy postanowienie! Gdy Leblanche już wręczył karteczkę swojemu ziomkowi, przyszedł ku mnie na pokład, żeby wydać ostatecznie rozporządzenie. Oczekując z niecierpliwością chwili decydującej nie wiele co mógłem robić. Walka miała bowiem być nie równa. Nas było tylko siedmiu przeciw całej szajce zbójów. Bróń było wprawdzie podostatkiem, bo arsenał, jak się Leblanche wyrażał, stał jak otworem, a miał dosyć naładowanych karabinów i wyostrzonych szabli, żeby trzy razy tyle ludzi uzbroić. Tam chciał Leblanche najprzód uwolnionych więźniów zaprowadzić, i uzbroiwszy ich, wypaść z nimi na pokład, gdzie ja miałem się do nich przyłączyć. Zresztą obmyślał on wszystko jak najlepiej do najmniejszej drobnostki.

Obiad przyjmowano na pokładzie, a póki starczyło, było zawsze sporo wina przytem. Na owem dniu Leblanche nagotował pachnącego i mocno pieprznego bigosu, który zbój z chciwością pożerali. Ja jadłem w kuchni, ale, jednak owego dnia nie miałem jakoś apetytu, a Leblanche mówił, że lepiej gdy się obaj od obiadu wstrzymamy. Tak oczekiwaliśmy, omawiając wszelkie możliwe wypadki, aż piraci zjedli obiad. Pierwszy sygnał z którym mieliśmy napocząć był głos dzwonka okrętowego, dzwoniący co dwie godziny na zmianę warty. Z każdą minutą byłem więcej wzruszony, bo miała to być walka o życie lub o śmierć. Wreszcie ozwał się dzwonek, powoli wyszedłem na pokład. Większa część zbójów leżała już do spania na pokładzie, a wysoki chińczyk stał przy sterze i szykował straż, oprócz niego było trzech ludzi w służbie, gdy na pokład wyszedłem. Z wielkim zdumieniem i strachem nie miałem spostrzegłem, że kapitan był na pokładzie, chociaż zwykle o tem czasie usuwał się do swojej kajuty. Roz-

postawił on brudną kartę morską na beczie, i zdawał się pilno nad nią studyjować. Udawałem jakoby jakimś narzędzia zapomniał i pobiegłem co tchu na dół do kucharza, powiedzieć mu, że herszt jest na pokładzie. Stał on już przed kajutą, czekając na mnie.

„Do biesa“ zawołał, „nie ma klucza do więźniów, herszt musi go mieć przy sobie.“

Dał się słyszeć lekki brzęk łańcuchami.

„To więźniowie uwalniają się z kajdanów“, mówił Leblanche po cichu, dzisiaj podałem im potrzebne do tego narzędzia w dzbanku, zamiast wody; mógłiby drzwi i gwałtem odbić, ale usłyszaliby trzask na pokładzie! Co tu czynić?“

„I ja przynoszę złą nowinę“, rzekłem. „kapitan nie poszedł do swej kajuty, lecz bawi na pokładzie!“

„A więc wszystko przeciwnie się dzieje“, mówił kucharz, „zaniechać tego już nie możemy. Zaczekaj tu! Pójdę do więźni ostrzedz ich aby się cicho zachowywali, żeby się nie zdradzić przedwcześnie!“

Oddalił się szybko, idąc ciemnym gankiem do więzi, ja wszedłem do kajuty, gdzie już broń stała w pogotowiu, poznosił to wszystko Leblanche tutaj, dla pewności. Wybrałem sobie ostry sztylet i wetknąłem go za pas i dwa pistolety nabite. Na pokładzie było cicho. Tylko można było słyszeć kroki patrolu przechodzącego. Ukryłem się w najciemniejszym kącie, a w tej chwili przechodził pirat tuż obok schodów rozglądając się do koła, ale miał bardzo zaspane oczy. Po chwili wrócił Leblanche, jaskając się od wzruszenia, z trudnością zrozumiałem jego mowę, powiadał mi, że więźniowie chcą żelazną piłką, którą im podał w dzbanku, drzwi przeznąć.

„A czy na wierzchu tego nie usłyszysz?“ zapytałem.

Leblanche podrapał się po brodzie, lecz za chwilę rozjaśniła się twarz jego i rzekł: „Będę mejemi garnkami i kocielkami brząkał i gruchał, śpiewając ku temu głośno jaką piosnkę. Ty idź na pokład, a gdy będziemy gotowi to też tam wyjdziemy, ja wtenczas zagwizdnę jak ptak wodny.“ — „Co ja mam wtedy czynić?“

„Natychmiast strzelisz do trzymającego wartę na

maszcie, tego hultaja nie chybisz, chociażbyś i dobrym strzelcem nie był. Potem napadniesz zastępcę sternika! Tych dwóch ty musisz wziąć na siebie, a reszta, to nasze będzie!”

„Dobrze kolego!” odpowiedziałem podając mu rękę na rozestaną. Pistolety zapiąłem sobie pod kamizelkę, i modląc się po cichu wyszedłem na pokład.

Kapitan stał jeszcze ciągle z przyjacielem swoim, owem chińczykiem przy karcie morskiej. Stojący na warcie był w tyle okrętu przy śpiących rabusiach. Mający straż na maszcie spał sobie także spokojnie, zająłem moje miejsce do pracy. Kucharz robił taki huk z garnkami w kuchni i tak głośno śpiewał, że aż kapitan niezadowolony z tego, kilka razy już głową kręcił, a gdy koło niego przechodziła warta dał rozkaz, aby się kucharz uciszył, co mogłem z łatwością poznać z jego ruchów. W tem nagle jakiś ptak drapieżny, przeleciał po nad okrętem a wrzeszcząc przeraźliwie upuścił swą zdobycz, sporą rybę, tuż za plecami kapitana. Mimo wolnie obejrzał się kapitan wraz z chińczykiem, śmiejąc się obaj głośno. W tej chwili ozwał się umówiony głos Leblancha. Z zimną krwią wyprostowałem się i wydobywszy moje pistolety, wypaliłem prosto do pilnującego zbója na maszcie. Drgnął tylko kilka razy i spadł na pokład ugodzony śmiertelnie. Skoczyłem natychmiast, ku stronie steru, aby drugiego celu dopiąć. W tym samym momencie wypalił ktoś od schodów ku kapitanowi lecz trafił stojącego na warcie, a ten runął jak długi do dziury na schody. Kapitan wydawszy straszliwy okrzyk, podobny do ryku lwa dążył z pistoletem w rękę ku wschodom. Chińczyk nie będąc uzbrojony wyrwał przyjacielowi szablę z pochwy, i oboj jak wilki drapieżne rzucili się na uwolnionych jenców, którzy właśnie po schodach na pokład wyszli. Widziałem to wszystko tylko jak przez mgłę, bo obłok smędu powstały z strzału na wartę, zasłaniał przedemną całą tę grupę na chwilę. Straszliwa walka zawrzała pomiędzy uwolnionymi więźniami, a kapitanem i chińczykiem. Ja byłem jeszcze jakoś bezpieczny, bo sterujący okrętem zbój, chociaż strzałami wystraszony, zdawał się myśleć,

że on nie potrzebuje brać udziału w walce, bo zbójce często walczyli pomiędzy sobą wzajemnie za najmniejszą drobnostkę zabijając się bezkarnie; a widząc jeszcze kapitana na pokładzie sterował spokojnie okrętem dalej. Musiał mię wcale nie zauważyć, bo przybliżyłem się z tyłu blisko ku niemu, z naciągnionem kurkiem u pistoletu, żeby nie chybić, a potem sam ster objąć jak to Leblanchowi przyobiecałem. Tym razem jednak niedopisała moja niedoświadczona ręka, bo kula zaświszczała mu kole samego ucha. Nim się jednak zdołał dobrze obejrzeć zkąd mu tak jawne niebezpieczeństwo groziło, skoczyłem kilku prędkimi susami ku niemu, aby go na ziemię powalić. Jednakże zbój stawił się ostro przeciw mnie i rozpoczęła się pomiędzy nami walka na pięści. Nagle podstawił mi nogę i upadliśmy obaj na pokład. W krótce rozstrzygała się jednak walka, bo co do siły byliśmy sobie mniej więcej równi, ale ja byłem o wiele obrotniejszym od niego. Zwinnem ruchem przewaliłem go na dół, kolanami przycisnąwszy mu silnie dyszącą pierś, trzymałem go za ręce, kręcąc niemi w tę i ową stronę. Teraz począł mię pokornie prosić o miłosierdzie, lecz w tej chwili przypadł ku nam Leblanche, i z tyłu pod moją ręką wbił mu ostry sztylet prosto do serca. Mocny strumień krwi trzysnął mi prosto w oczy. Gdy się podniosłem, napominał mnie okręt sporem nachyleniem, aby jak najprędzej ster objąć. Do czego się też co tchu wziętem, bo chwileczkę jeszcze, a jużby okręt był osiadł, na grobli piaskowej. Tymczasem Leblanche opowiadał mi, że herszt po długiej i mężnej walce poległ od kuli, chińczyk zaś widząc poległego przywódcę swego porzucił natychmiast broń, prosząc o życie. Darowano mu go, i okutego w kajdany zamknięto w pewnem miejscu.

„Ależ ci drudzy?“ zapytałem, wskazując na zbójów którzy spali.

„O tych bądź spokojny!“ rzekł Leblanche, „do bigosu na obiad, namieszałem mocnego proszku usypiającego, dziwuję się tylko, że nie u wszystkich jednako skutkował. Posiadam ten proszek od pewnego kolegi jeszcze z Carogrodu. A widzisz! trzech ich tylko walczy,

ci drudzy śpią w najlepsze mimo tego gruchu i strzelania. A bodaj go! Właśnie Rignault przebódt jednego, do sto kaduków! I pogrzebu nam oszczędził, bo wprost do móza palnął. Ci dwaj już są zbyci. rzeczywiście, oto już leży drugi, a jaki silny był ten hultaj dwaj hiszpańczycy z ledwością mu podolali. A, a, ten trzeci dał się w ucieczkę, Rignault za nim pędzi, już go ma. Szkoda, maszt zaśnięcia mi widok!“

Strzał z pistoletu gruchnął za mną, aż Leblanche skoczył. — „Kogo zastrzelono?“ zapytałem.

„Zbója!“ wykrzyknął radośnie kucharz. W tej samej chwili uczulem się objęty rękami z tyłu. Gdyby nie wykrzyknik kucharza, byłbym myślał, że jestem napadnięty. Był to Rignault, dawny moj znajomy i kolega, którego Leblanche zawołał, poznał mię natychmiast. Co to było za spotkanie! Rignaultowi lunęły łzy radości z ócz jak dzieciakowi. Ów proszek usypiający działał tak skutecznie u reszty zbójów, że nie potrzebowaliśmy więcej krwi rozlewać, śpiących powiązano i zamknięto. Z nas poniosło tylko dwóch hiszpanów cięższe rany, które im zadał silny jak lew, herszt zbójów. Gdy pokład uprzątnięto i trupy do móza powrzucono, mimowolnie upadliśmy wszyscy na kolana, dziękując Bogu za ocalenie. W prawdzie móglibyśmy jeszcze mieć ambaras nie mały, gdyby nas był trafil jaki chiński okręt, trudnoby nam się było wytłomaczyć, żeśmy mieli jednego z ich ziomeków jeńcem. Na szczęście, natrafiliśmy statek angielski i poddaliśmy się jemu. Anglicy zrobili krótki proces ze zbójami powieszali wszystkich na swem okręcie.

Na Boże Narodzenie siedziałem już w St. Pauli, przy ciepłym kominku. Okręt nasz „Helena“ dopiero za kilka tygodni tamże zawinął. Powitałem go z radością.

„Do milion kroćset Janku!“ zawołał kapitan, „myślałem, że ciebie wilki morskie w japońskim mózu zjadły!“ — „Chciały mię“, odparłem, „ale się niedałem, jeżeli chcecie jestem gotów z Wami jechać!“ — Owszem! wsiadaj! Odtąd służyłem dalej szczęśliwie na „Helenie.“ Piratów już więcej nigdy nie widziałem.



FRASZKI.

— **Kto większy cygan?** Jegomość pewien w małym miasteczku, przypatrywał się z okna na plac, na którym właśnie jarmark się odbywał i spostrzegł, jak cygan sprzedawał konia żydowskiemu faktorowi. Ciekawym, kto kogo oszukał, zawołał do siebie najprzód cygana i zapytał:

— Coś ty tam z żydem robił?

— Sprzedałem mu konia — odrzekł cygan.

— Jak drogo?

— Za 10 reńskich.

— O ty głupi cyganie, jakżeś ty mógł konia za 10 reńskich sprzedać?

— Proszę pana, ten koń kulawy.

— Zawołał więc jegomość do siebie żyda i rzekł mu:

— O! ty głupi żydzie, jakżeś ty mógł kupić kulawego konia?

— Ny, proszę pana, wun nie jest kulawy, wun tylko temu kuleje, co jest źle okuty.

Wola więc znów jegomość cygana i tak mu rzecze:

— Oj, durniu, durniu!.. toż twój koń nie jest kulawy, tylko dla tego kuleje, że jest źle okuty.

— Nie, panie — odrzekł cygan — on jest naprawdę kulawy, a ja, go umyślnie kazałem źle okuć, aby kupiec myślał, że on kuleje dla tego, iż jest źle okuty.

Wola więc jegomość jeszcze raz żyda i tak mu rzecze:

— A widzisz fujaro, koń przecież jest kulawy — cygan mi to sam powiedział — a on go umyślnie źle okuł dla tego, abyś myślał, że on kuleje przez złe podkucie.

— Ny, ja mu na każdy wypadek dał fałszywą dziesiątkę.

Ktoby chciał popróbować swego humoru w „Micięzniku“, ma do tego sposobność. Będą się także umieszczały humorystyczne, wesołe korespondencje, ale tylko takie, które czytelnika będą zdolne do śmiechu pobudzić.

51182 I

Pracownia Graficzna

Rozwiązanie Zagadki z Nr. 6-go.

P a w.

Trafne rozwiązanie nadesłali pp. Feliks Musialik i Franciszek Olejnik, inne rozwiązania nie były trafne.

Z a g a d k a.

Pierwsze z drugim, napój miły,
Pierwsze z czwartem, jest tak samo,
Tylko w liczbie mnogiej—siły!
Albo gdyby — oń wołano.
Drugie z czwartem, obce miano,
Które dobrym paniom dano.
Trzecie z drugim, gdy się zbierze
Znaczą ludzi w dużej mierze
Całość razem, jest w różkoszy
Polykana, przez smakoszy.
Proszę zgadnąć co to znaczy
A los nagrodę, Wam przeznaczy.

Fr. S.

Za trafne rozwiązanie tej zagadki, przeznaczamy jako nagrodę, dziełko p. t. „Kołnik w stosunku do kopalń“, dla trzech, którym los przeznaczy.

„MIEŚIĘCZNIK“

wychodzić będzie nadal **co miesiąc (15-go) jeden zeszyt** po cenie **15 fen** Zamówienia nadsyłać należy pod adresem :

Fr. Schwider w N.-Piekarach (p. Scharley.)

Komu dogodniej, może także zamawiać na pocztę po cenie **45 fen. kwartalnie.**

Zeszyty pierwszy i następne można jeszcze nabywać u wydawcy.